

Karol May



Jasna
Skała

cykl Szatan i Judasz

Karol May

Jasna Skala

cykl Szatan i Judasz

Tom IX

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Karol May
„Jasna Skała”

Copyright © by Karol May, 1927

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy

Projekt okładki: Adam Brychcy

Druk: Zakł. Druk. „Bristol”

Wydawnictwo: Spółka Wydawnicza Orient R. D. Z. East

Warszawa, 1927

ISBN: 978-83-8119-378-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I PUEBLO

Po trzech kwadransach dotarliśmy do śladów, wyraźnie wydeptanych przez Yuma. Charakter miejscowości świadczył o pobliżu rzeki. Emery zapytał Winnetou:

— O co wam właściwie chodzi? Chcieliście się pokazać Yuma, ale jak i gdzie, — o tem nie słyszałem.

— Mój brat nie słyszał, ponieważ się nie pytał. Poszukamy kryjówki wrogów.

— Poszukamy otwarcie?

— Nie, Ukradkiem.

— Chcemy przecież, aby nas ujrzeli.

— Tak, powinni nas zobaczyć, ale wówczas dopiero, gdy będziemy przy nich.

— Ah! A zatem podkraść się do nich. Nie możemy tedy zabierać ze sobą koni?

— Nie. Umieścimy je wpobliżu. Zostanie przy nich nasz brat Vogel. Tak, czy owak, nie mógłby pójść z nami — nie umie się podkładać i tylko pokpi sprawę.

— Przedewszystkiem więc musimy poszukać dla niego i dla koni dogodnej kryjówki.

Wkrótce znaleźliśmy. Była to rozległa grupa krzaków, leżąca od nas na prawo. Pojechaliśmy tam, schronili konie i udzielili Voglowi wszelkich potrzebnych w danym wypadku wskazówek. Niechętnie rozstawał się z nami, ale musiał sam przyznać, że nie ma doświadczenia westmanów i, zamiast pomocy,

przyniosłby nam szkodę.

Wracaliśmy śladami Yuma z najwyższą przezornością, gdyż należało przypuszczać, że chociażby z niecierpliwości Indianie wyślą naprzeciw wywiadowcę. Kryliśmy się za każdym drzewem i krzakiem, póki nie przekonywaliśmy się, że wrogów przed nami niema.

Tak manewrując, przybyliśmy wreszcie w pobliże głębokiej doliny, gdzie Flujo blanco wrzyna się w płaskowzgórze. Dolina tworzyła canon, do którego zbliżaliśmy się prostopadle, to znaczy — droga nasza krzyżowała się z linią doliny pod kątem prostym.

Naraz teren zaczął opadać. Wydrążenie nakształt wąwozu prowadziło nas ku rzece. Winnetou, jak zawsze przezorny i zapobiegliwy, rzekł:

— Nie zapijemy się w ten wąwóz. Musimy się dowiedzieć, dokąd prowadzi. Przeto wyminiemy go i dojdziemy do krawędzi canonu.

Tak się też stało. Niebawem dotarliśmy do wysokiej krawędzi, z której można było spojrzeć wdół, na rzekę. Zobaczyliśmy wylot wąwozu, a nawprost niego, na drugim brzegu, — ujście strumyka, na pewno tego właśnie, o którym opowiadała squaw, a który wypływał z pośród skał. Między strumykiem a skałami było tyle wolnego miejsca, że można było wzdłuż brzegów iść, a nawet jechać. Emery wskazał w tym kierunku i rzekł:

— Tam jest kryjówka. Jakże się dostaniemy niepostrzeżenie? Jeśli pójdziemy wzdłuż brzegu, to szubrawcy wnet nas zobaczą.

— Czy musimy iść tamtędy? — zapytałem. — Znajdziemy inną drogę, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

— Ah! Chcesz podejść ich z tyłu?

— Tak. Ponieważ wypatrują nas z tej strony, więc zjawimy się z przeciwnej.

— Ale w takim razie musimy się przeprawić przez rzekę, przez canon, przez skały, a fruwać nie umiemy.

— Skoro nie umiemy fruwać, będziemy musieli iść. Wróćmy do wąwozu! Znamy teraz dobrze teren i nie wątpię, że się nam powiedzie.

Wróciliśmy do wąwozu i weszli, oczywiście zachowując wszystkie należne środki ostrożności. Nad brzegiem rzeki ujrzeliśmy, że ślady Yuma się rozdzieliły, — połowa biegła naprzód, druga przez rzekę ku strumykowi. Nie uszłoby to naszej uwagi, nawet bez ostrzeżenia squaw. Prosto nie mogłem pojąć, jak obaj Meltonowie mogli przypisywać nam tak beznadziejną ślepotę. Na ten ślad zwróciłby uwagę każdy, a coś dopiero taki Winnetou!

Przeprawiliśmy się w pław przez rzekę, ale, zamiast pójść wzdłuż strumyka, cofnęli się brzegiem Flujo blanco aż do miejsca, gdzie nietrudno było wydźwignąć się na brzeg. Teraz więc staliśmy na płaskowzgórzu drugiego brzegu rzeki. Poszliśmy na lewo, naukos, w kierunku strumyka. Niebawem dotarliśmy do miejsca, gdzie zejść było łatwo.

Yuma wypatrywali nas z lewej strony, pod górę strumyka, — my skradaliśmy się ze strony przeciwległej. Oczywiście, musieliśmy podwoić czujność zmysłów. Emery jeszcze niezupełnie zdawał sobie sprawę z naszych zamierzeń. Gdyśmy się zatrzymali na dobrze krytym miejscu, zapytał:

— Czy ta fatyga była konieczna, Charley?

— Tak — odparłem. — Yuma spodziewają się nas. Jeśli nie przyjdziemy, będą nas szukać. Znajdą ślady, prowadzące do puebla i, jeśli im się nawet nie uda zaskoczyć, to dowiedzą się o naszym planie i schwytają nas na pewno wieczorem, gdy zaczniemy się spuszczać do kotliny.

— Hm, słusznie. Ale mogliśmy gdzie indziej się schronić do wieczora.

— Nicby nie pomogło. Musimy ich oszukać; powinni sądzić, że tylko cieśniną zamierzamy się dostać do puebla. A poza tem, pomyśl tylko, jak pięknie ich podejdziemy. Wypatrują nas i nasłuchują, spodziewając się, że przyjdziemy wzdłuż rzeki, lub, jeśliśmy nawet odkryli drugie ślady, — wzdłuż strumyka. W obu wypadkach wpadamy im w ręce. A oto jesteśmy nad nimi i przyjdziemy ze strony nieoczekiwanej.

— No, i co mamy z tego?

— Co mamy z tego? — zapytałem zdumiony. — Co za pytanie?

— Dziwisz się? Wszak nie chcesz czerwonym wyrządzić nic złego. Rozumiem, gdybyśmy mieli ich zastrzelić, — to owszem, istniałaby racja, abyśmy się prażyli w tym upale i podkradali z narażeniem głowy. Ale zabijać nie mamy ochoty, wypłoszymy Yuma tylko i pozwolimy stąd uciec.

— Tak, pozwolimy, ale nie staremu Meltonowi. Tego schwytaemy — postaramy się schwytać. A wieczorem będzie pora na syna. Jesteś już zadowolony?

— Jeśli tak, to owszem. Nie mówiliście, że tu chodzi o starego Meltona!

— To się samo przez się rozumiało. Ale teraz dalej, bo draby

mogą się zniecierpliwić i opuścić kryjówkę.

Podkradaliśmy, się dalej, nie chodząc już, lecz pełzając po ziemi. Każdej chwili mogliśmy się natknąć na wroga.

— Uff! — usłyszałem nagle zdziwiony okrzyk Apacza.

Wyprzedził nas o kilka kroków. Podniósł się, stanął za gęstym krzewem i wskazał naprzód, na przerzedzone miejsce. Podpełzliśmy. Ogarnęło nas zdumienie, a raczej rozczarowanie. Trawa na tem miejscu była udeptana — tu się ukrywali Yuma, ale teraz nie widać było nikogo.

— Poszli sobie — mruknął Emery.

— Tak, o ile to nie jest podstęp, — ostrzegłem. — Być może, zobaczyli nas i cofnęli się, aby przywitać kulami.

— Zobaczymy! — rzekł Apacz. — Moi bracia niechaj tu poczekają.

Oddalił się, przeskoczył przez strumyk i znowu pełzał. Gdyby nawet tam się Yuma pochowali, nie byłiby go dostrzegli w gęstwinie krzewów i chróstu. Skradał się jak wąż. Zniknął na dziesięć minut i znowu się pojawił, nie pełzając już, lecz chodząc. Był to znak, że nie znalazł wrogów.

— Uciekli! — krzyknął zdaleka kwaśno Emery. — Wrócili do puebla, bo wyczerpała się ich cierpliwość. A zatem nie schwytamy starego Meltona.

— Gdybyż się tylko na tem skończyło! — dorzuciłem.

— Tylko na tem? — Co jeszcze mogło się zdarzyć?

— Przeprawili się przez rzekę. Jeśli zobaczyli nasz ślad, to...

— Do piorunów, tak! W takim razie pójdą brzegiem i wrócą do strumyka. Musimy tu zostać i przyjąć ich godnie. Lepszego obrotu nasza sprawa nie mogła przybrać.

— Nie jestem tak uradowany, jak ty. Tak, skoro zobaczą ślady, pójda za nami. Ale pytanie, w którą stronę? Jeśli pójda wstecz, to znajdą Vogla i nasze konie.

— Byłby to największy pech, jaki można sobie wyobrazić!

— Więcej, niż pech. Musimy szybko podążyć za nimi i przekonać się, dokąd poszli.

Pośpieszyliśmy do rzeki i szybko przeprawili się przez płytką wodę. Na gruncie u wylotu wąwozu ujrzeliśmy o wiele więcej śladów, niż poprzednio. Oglądałem je, ale nie mogłem nic wywnioskować. Tak samo Emery, a nawet Winnetou potrząsnął głową wreszcie rzekł:

— Być może. Yuma znowu wrócili. Moi bracia niech szybko pomkną za mną ku wierzchowcom.

Przebiegliśmy wąwóz. Tu na trawie, ku najwyższemu przerażeniu, zobaczyliśmy ślady Yuma. A zatem odkryli nasz trop i poszli za nim, ale, niestety, nie naprzód, lecz wstecz, tam, skąd przybyliśmy. Teraz biegliśmy co tchu do krzaków, gdzie zostawiliśmy Vogla z końmi. Nie myśleliśmy o ostrożności — wszak chodziło o naszego towarzysza i o nasze konie. Jak ścigane zwierzęta, pędziliśmy przez zagajnik, z bronią w ręku, aby każdej chwili mogła przemówić.

Dobiegliśmy — — lecz nie było koni, ani Vogla. Darnina nie była udeptana — ani śladu walki. Nasz słynny wirtuoz został poprostu zaskoczony. Ślady łukiem wracały stąd do wąwozu. My, tak doświadczeni, tak mądrzy, tak przemądrzy ludzie ponieśliśmy haniebną porażkę.

Emery omal-że nie pękł z wściekłości.

— Stoicie tylko i wyłupiacie na siebie gały! — zawołał. —

Gdzie jest stary Melton, któregoście mieli schwytać? Gdybyście mnie usłuchali, nie stalibyśmy tu jak wychłostane żaki!

— Czy mój brat Emery nigdy nie popełnił błędu? — zapytał spokojnie Winnetou.

— Dosyć wiele, dosyć! — odpowiedział Englishman ze swą śmieszną szczerością. — Ale nie powinniśmy się tutaj zatrzymać. Musimy mknąć czem prędzej, musimy go uwolnić. Ruszajmy szybko, ruszajmy!

Pomknął naprzód. Widząc, że wleczeni się zanim powoli, przystanął w biegu i zawołał!

— Chodźcie, no chodźcież! Nie można tracić czasu.

— Dokąd to? — zapytałem. — Do puebla?

— Do... Ah, więc myślisz, że go tam zawlekli? W takim razie nie pójdzie nam tak gładko, jak sądziłem.

— Rozumie się, że nie możemy teraz, w jasny dzień, szturmować fortecy.

— Ale co zrobimy do nocy?

— Poczekamy — nic więcej.

— A więc chodźmy! Pójdźmy na krawędź skały, z której mamy się opuścić nadół, i zobaczymy, co zrobią z Voglem i końmi.

— A jeśli Yuma zaczną nas szukać? Jeśli znajdą nas i unieszkodliwią? Wówczas nietylko nie schwytemy obu Meltonów, ale nadomiar stracimy Vogla.

— Ale gdzie spędzimy czas tak długi?

— Pokażę wam — rzekł Winnetou. — Moi bracia niech idą za mną!

Przeprowadził nas aż pod wąwóz i usiadł pod krzakiem.

— Czy zechcą moi bracia tu siedzieć? — zapytał.

— Ja nie — mruknął Emery. — Siedzimy przed samym nosem wroga.

— To jest jedyna rzecz właściwa — oświadczyłem. — Yuma po odprowadzeniu Vogla do puebla, na pewno tutaj powrócą.

— Nie odważą się.

— W każdym razie Meltonowie wyślą jednego lub kilku wywiadowców, aby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy i co robimy.

— A jeśli nadejdą. Cóż my?

— Odeślemy ich zpowrotem do puebla i każemy się kłaniać Meltonom. W ten sposób uzyskamy pewność, że naszemu towarzyszowi nie wyrządzą nic złego.

— Hm, tak, chciałbym wiedzieć. Biednemu chłopcu grozi niebezpieczeństwo, nad które niema większego.

— Nie tak groźne znowu! Dopóki tu jesteśmy nie powinien tracić otuchy.

— Oho! Pomyśl o spadku.

— No? Dalej.

— Jeśli im wyzna prawdę, natychmiast go zakatrupią.

— Nie będzie chyba tak głupi, aby ją wyznać.

— Czemu nie? Myślę, że na pewno wygada się ze strachu, czy złości.

— Powie — potwierdził Winnetou spokojnie. — Wyzna prawdę i dlatego właśnie Winnetou usiadł na tem miejscu.

Teraz przytrafiło mi się coś niezwykłego — nie zrozumiałem intencji Winnetou. Widząc, że obrzucam pytającym spojrzeniem, rzekł:

— Czy mój brat Szarlieh wierzy, że się Meltonowie nas lękają?

— Tak.

— Czy myślą, że będą nas mogli tutaj złapać i zgładzić.

— Nie. Wręcz przeciwnie, wiedzą, iż rola ich dobiega końca.

— Tak, nie pozwolimy się zaskoczyć i zabić. Mogli schwytać Vogla, ale nie nas. Odkryliśmy ich gniazdo. Jeśli stąd uciekną, to pomkniemy za nimi i nie spoczniemy, dopóki nie wpadną nam w ręce. Zdają sobie z tego sprawę. Naraz chwytają Vogla, który wyrzuca im zbrodnię i powiada, że jest jedynym prawdziwym spadkobiercą. Co w takim razie mają uczynić?

— Natychmiast go usunąć — odpowiedział tonem pełnym przekonania Emery.

— Czy mój brat Szarlieh podziela to zdanie?

— Nie — zaproponowałem, domyślając się już zamiarów Winnetou. — Morderstwo nie polepszy ich sytuacji, lecz o wiele pogorszy. Mordercy nie będą mogli liczyć na nasze pobłażanie.

— Mój brat ma słuszość, gdyż trzymając go jako zakładnika, zyskują możliwość ratunku.

— A więc mój brat Winnetou myśli, że jeśli zostaniemy tutaj, to wkrótce nadejdzie wywiadowca, a później poseł?

— Tak.

— Mój brat najlepiej z nas przewiduje. Nigdy się nie myli. Jestem przekonany, że i dziś spełni się jego przypuszczenie.

— Bardzo wątpię — mruknął niechętnie Emery. — A nawet jeśli się to sprawdzi, czy wejdziecie w układy z tymi ludźmi?

— Tak. Należy czynić, co rozum dyktuje. Przedewszystkiem powinniśmy dbać, aby się nic złego nie stało naszemu

towarzyszowi, a przeto napozór przystać na poczynione propozycje, albo, co najmniej, wziąć je pod rozwagę. Działaliśmy dziś nieprzezornie i bez szczęścia, ale jedna okoliczność godzi mnie z naszym fatalnem położeniem.

— Jaka?

— Że mamy lassa przy sobie. Gdybyśmy je zostawili przy koniach, wszystko byłoby dla nas stracone i nie wiedziałbym, jak uwolnić Vogla.

— Pshaw! Uwolnilibyśmy go w każdym razie. Nie spocząłbym przedtem.

— Ale z jakimi przeciwnościami musielibyśmy walczyć! Teraz zaś jestem przekonany, że Vogel będzie wolny już jutro rano. Mam nadzieję, że — —

Winnetou przerwał mi lekkim skinieniem. Leżał tak, że mógł spoglądać w wąż. Dojrzałem błysk w jego oczach. Naraz usłyszałem szmer kroków — ktoś się skradał powoli i milczkiem. Zaszliśmy się głębiej w zagajnik. Nabawem wywiadowca nadszedł. Był to Indjanin. Obejrzał się na prawo i lewo, nie widząc nikogo. Wyszedł z wąwozu i zaczął badać ślady, odciski przez nas i przez jego towarzyszków na trawie.

Teraz odwrócił się do nas plecami. Winnetou podniósł się cichaczem za nim, ja i Emery nie daliśmy na siebie czekać. Apacz spytał głośno:

— Czego tu szuka mój czerwony brat w trawie?

Yuma odwrócił się, zobaczył nas i ze strachu wypuścił z rąk flintę. Winnetou odtrącił ją szybko nogą i dodał:

— Czy mój brat co zgubił?

Widziałem, jak po bronzowej twarzy Yuma przebiegł

błyskawicznie wyraz zdecydowania — stanąłem w odległości trzech kroków od wąwozu. W tejże chwili Yuma wykonał szybki obrót i upadł — wprost w moje objęcia. Wyrywał się, szamotał, ale po paru straconych próbach spotulniał i pozwolił się rozbroić. Odwiodłem go od wąwozu i kazałem usiąść na miejscu, gdzieśmy poprzednio czekali. Winnetou znowu się tak umieścił, aby mieć wąwóz na oku, i rzekł do schwytanego Yuma:

— Czy mój brat wie, kim jesteśmy?

Zapytany skinął potakująco.

— Niech wymieni nasze nazwisko!

— Winnetou i Old Shatterhand. Drugiego białego nie znam.

— Ten biały jest słynnym myśliwym, który się jeszcze nigdy nie uląkł wroga. Mój brat dobrze wymienił nasze nazwiska. Gdzież je słyszał? A może nawet poznał nas kiedyś?

— Widziałem was w Sonorze, w hacjendzie del Arroyo i w Almaden alto.

— Jeśli mój brat sobie przypomina, co tam zaszło, to chyba wie również, że nie jesteśmy wrogami Yuma, gdyż zawarliśmy z nimi pokój. Czemu występują teraz Yuma przeciwko nam?

Yuma milczał.

— Pokonaliśmy wówczas wiele setek Yuma teraz zaś jest was tak mało. Czy sądzicie, że tym razem uśmiechnie się wam szczęście?

— Zamieszkujemy pueblo, niedostępne dla wroga.

— Mój brat się myli. Skały Almaden alto były o wiele mocniejsze i mniej dostępne, niż wasze pueblo, a jednak dotarliśmy tam i nawet schwytali właściciela. Almaden alto było bronione przez licznych Yuma, a oto mój przyjaciel Old

Shatterhand sam tych czynów dokonał. Jakże łatwo nam dostać się do waszego puebla! Możecie wszyscy czuwać — jeśli zechcemy, przemkniemy niepostrzeżenie przez wąskie wejście. Wtedy nie będzie dla was ratunku. Dlatego radzę nie doprowadzać nas do tej ostateczności.

Słowa te zwały wywiadowcy kamień z serca. Lękał się bowiem, że go zabijemy. Odpowiedział szybko:

— Dlaczego wódz Apaczów rzuca słowa na wiatr?

— Na wiatr? Dlaczego? — zapytał Winnetou, aczkolwiek dobrze zrozumiał, do czego zamierza Yuma.

— Gdyż ci, do których rada jest skierowana, nie mogą jej usłyszeć.

— Odeślemy cię do nich zpowrotem.

Twarz Yuma rozpromieniła się radością. Rzekł:

— A więc pozwól mi odejść! Opowiem swoim braciom, co im radzisz.

— Poczekaj chwilę! Odkąd to czerwoni wojownicy nie wstydzą się być niewolnikami kobiety, białej squaw?

— Nie jesteśmy jej niewolnikami!

— Jesteście nimi. Dla jej sprawy zadzieracie z trzema znakomitymi wojownikami, którzy, jak wiadomo, mogą was pogromić, skoro tylko zechcą. I dla tej kobiety bierzecie w obronę ludzi, którzy są złodziejami i mordercami i nawet nie należą do plemienia czerwonych! Zasługujecie na głęboką pogardę.

Oczy Yuma błysnęły gniewem. Opanował się jednak i rzekł:

— Biała kobieta była squaw naszego wodza, dlatego jej służymy.

— Jacyż to czerwoni wojownicy służą squaw swego wodza, a tem bardziej po jego śmierci? Mój brat niech opowie swoim towarzyszom, co Winnetou o nich pomyśli, jeśli będą dłużej bronić białej kobiety i jej obu przyjaciół. Schwytaście młodego białego naszego towarzysza, zabraliście nam konie, napadliście na nas wczoraj wieczorem, aby schwytać i zabić, — to wszystko woła o pomstę, która was niechybnie spotka, jeśli się nie zgodzicie na pojednanie.

— Czego żąda od nas Winnetou?

— Naszych koni, młodego człowieka, o którym wspomniałem, i obu białych, którzy mieszkają u squaw w pueblo.

— Wygórowane żądanie! A co wzamian przyrzeka Winnetou?

— Życie.

Poznać było po Yuma, że odczuwa wielki respekt wobec Winnetou, ale tym razem jego cienkie wargi zadrgały ironicznie, kiedy odparł:

— Jeśli nam zechcą odebrać życie, to potrafimy je obronić. A może sądzi wódz Apaczów, że nie imają go się kule?

— Tutaj, śród was, jestem pewien, że mnie żadna kula nie ugodzi. Znam was dobrze. A zatem wiesz, czego żądam: ojca i syna, mieszkających u was, młodego białego, któregoście schwytały, oraz koni.

— A co się stanie, jeśli nasi wojownicy się nie zgodzą?

— Tego ci nie powiem, ale niebawem się dowiecie. Teraz możesz odejść. Zostaniemy tutaj, aż słońce zbliży się do widnokręgu na dziesięć szerokości ręki. Jeśli do tego czasu nie dacie odpowiedzi, to spór nasz rozstrzygnie tomahawk. W ciemnościach dotrzemy do rzeki, powystrzelamy wszystkich,

którzy nam staną na drodze, wdrzemy się do puebla i zabierzemy wszystko, czego nam odmawiacie. Wówczas wasze kobiety i dzieci podniosą lament i zaczną wyć nad śmiercią, która uniosła ich mężów i ojców.

— Winnetou jest wielkim wojownikiem, ale i Yuma nie są myszami, które lekliwie wylatują z dziur, skoro słyszą kroki wroga.

— Nie usłyszycie ich nawet. Będziemy między wami, zanim się opatrzycie.

— Mamy noże. Zatopimy je w sercu wroga!

— Nie zobaczycie go nawet. Mój brat może teraz iść do puebla, aby wrócić następnie z odpowiedzią. Im prędzej nadejdzie, tem lepiej dla Yuma.

— Czy mogę zabrać swą broń?

— Nie. Jeniec odzyskuje broń po zawarciu pokoju — nie wcześniej.

Yuma podniósł się i znikł z głową podniesioną, dumnie krocząc. Buta nie pozwoliła mu ujawniać radości, którą odczuwał, że uszedł cało. Skoro znikł, Emery rzekł z uśmiechem:

— Mój brat chyba nie przypuszcza, że Yuma ze strachu wydadzą nam te trzy osoby i nasze konie!

— Nie. Ale Winnetou wie dokładnie, co teraz nastąpi.

— Jestem bardzo ciekaw.

— Yuma został wysłany na przespiegi poto, aby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy i co zamierzamy. Zostawią nas jednak w spokoju, wiedzą bowiem, że po schwytaniu naszego towarzysza podwoimy czujność. Wywiadowca wróci i opowie

Meltonom, gdzie nas spotkał; jakeśmy go zaskoczyli i co mu powiedzieli. W następstwie zaproponują pewną ugode.

— Jaka?

— Zgodzą się wydać jeńca i konie. Poza tem przyrzekną jeńcowi część spadku, ale wzamian zażądają, abyśmy się wycofali stąd i nigdy już nie wchodzili im w drogę. Moi bracia wątpią? Dowiedzą się wkrótce, że się nie mylę. Nie długo będziemy czekać na posłankę.

— Posłankę? — zapytał zdumiony Emery.

— Tak. Meltonowie nie przyjdą sami, nie mogą zaś wtajemniczyć żadnego Yuma w to, co mają, nam do powiedzenia. Istnieje tylko jedna osoba, którą mogą wysłać, a jest nią biała squaw. Sądzą też, że damy się zwieść jej pięknej twarzy.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

